



Wojciech Świdziniewski  
Maja Lidia Kossakowska  
Jarosław Grzędowicz  
Krzysztof Kochański  
Alexandra Pavelková  
Andrzej Drzewiński  
Andrzej Ziemiański  
Łukasz Orbitowski  
Andrzej Sapkowski  
Szczepan Twardoch  
Alastair Reynolds  
Eugeniusz Dębski  
Tomasz Pacyński  
Robert J. Szmidt  
Milena Wójtowicz  
Miroslav Žamboch  
Magdalena Kozak  
Witold Jabłoński  
Andrzej Pilipiuk  
Andrzej Zimniak  
Jewgienij Łukin  
Aneta Jadowska  
Anna Brzezińska  
Romald Pawlak  
Rafał W. Orkan  
Marcin Mortka  
John Everson  
Adam Cebula  
Kirył Jeskow  
Jacek Inglot  
Jacek Dukaj  
Ondřej Neff

## **ONI JUŻ U NAS BYLI, A TY?**

Fahrenheit to najstarsze polskie czasopismo internetowe poświęcone literaturze fantastycznej. Znajdziesz tutaj uznanych autorów oraz debiutantów, ich opowiadania, powieści, publicystykę, a także recenzje, quizy i aktualności.

**[www.fahrenheit.net.pl](http://www.fahrenheit.net.pl)**



Zapach włosów matki. Można powiedzieć, że to wspomnienie na zawsze zapadło w pamięć Ducha i nie raz uratowało mu dupę w kanałach. Tylko tak czyste, niezabarwione winą i smrodem fekaliów doznanie pozwalało na żelazny bezruch bladego ciała walczącego z nurtem płynących po burzy, cuchnących rozkładem zwłok.

Ale zacznijmy od początku.

Duch był dzieckiem słabym. Akuszerka odbierająca poród cmoknęła z niezadowoleniem, klepiąc malca w pupę. Pokój, wypełniony po brzegi służkami, kwiatami i sielankowymi obrazami w złożonych ramach zastygł w oczekiwaniu. Kukułka w zegarze ogłosiła zniecka południe, a jakby ktoś podszedł bliżej, ujrzałby w zatraskujących się drzwiczkach zegara refleks ogromnego łoża. Otoczona piernatami matka krzyknęła przejmująco, zapominając o dobrym wychowaniu, a położna wcisnęła maleństwo w ręce służącej i przypadła do bladych, pokrytych gęsią skórką ud rodzącej. Nic na to nie wskazywało, ale najwyraźniej była to ciąża bliźniacza. Z nieplanowanym wrzaskiem na świat pchało się kolejne dziecko. Kobieta, wycieńczona długotrwałym wysiłkiem, nie powstrzymała opadających powiek. W gasnącej świadomości zanotowała tylko, że jej pierwsze dziecko walczy o oddech w ramionach młodej akuszerki. Ta, gdy wreszcie Duchowi udało się powrócić do świata żywych, owinęła dziecko i położyła obok śpiącej matki.

Adelajda z Raczewskich Jadczak kochała obydwu swoich synów równie mocno, choć każdego inaczej. Jej codziennym rytuałem była wizyta w pokoju dziecięcym tuż po podwieczorku. Siadywała w fotelu pomiędzy dwoma drewnianymi kołyskami i nuciła. Duch uwielbiał jej matowy, kojący głos, choć nieustannie mrużył oczy przy każdym fałszu, zastanawiając się, czemuż owa wybrakowana nuta ma służyć. Nie wiedział również, po co przymyka powieki. Nic przecież się nie zmieniało. Wewnątrz i na ŚWIECIE panowała dokładnie taka sama czerń. Matka śpiewała, tylko to się liczyło.

Nie od razu zorientowano się, że Duch jest ślepy, ale gdy w końcu to nastąpiło, bliźnięta miały już po kilka tygodni. Pan Wiktor, ojciec, momentalnie stracił zainteresowanie ułomnym dzieckiem i skoncentrował swoje dynastyczne, acz parweniuszowskie oczekiwania na zdrowym potomku. A żonie nakazał troskliwą opiekę nad rokującym synem, równie surowo upominając, by kwestię pielęgnacji Ducha pozostawiła w gestii opiekunki. Wiktor Jadczak był człowiekiem traktującym wszystkie słabości jak osobistą urazę. W jego życiu wszystko musiało być najlepszego gatunku. Po żonie, zdobytej pieniędzmi zubożałej szlachciance, spodziewał się rasowych, pełnowartościowych potomków. No cóż, można powiedzieć, że małżonka spełniła oczekiwania połowicznie.

...

Chłopcy rośli, podobni do siebie jak krople wody, a jednym co ich odróżniało, były oczy. Zdrowe dziecko miało figlarne i błękitne a Duch ukryte za firanką rzęs mętne gałki, które widywał tak naprawdę jedynie doktor Woroniecki, zaglądając badawczo w twarz dziecka.

- Nie będę państwa oszukiwał - wzdychał nieodmiennie lekarz. - Chłopcuzroku nic nie zwróci.

- Może do Szwajcarii? - smagnął pytaniem pan Wiktor.

- Niestety, próżna wyprawa - odpowiadał zwykle lekarz.

Adelajda przyglądała się synkowi siedzącemu na kanapie obok lekarza. Miał spokojny, nieodgadniony wyraz twarzy i pomimo zaledwie dziesięciu lat sprawiał wrażenie dorosłego. Chętnie przytuliłaby syna, ale surowy wzrok małżonka osadzał ją na krześle stojącym obok biurka.

Każda wizyta kończyła się w ten sam sposób. Wiktor uderzał ze złością pięścią w blat mahoniowego biurka i gestem nakazywał lekarzowi, dziecku i stojącej za otomaną służącej natychmiastowe wyjście. Adelajda kiedyś podrywała się, chcąc iść za nimi, ale kilka lekcji otrzymanych skórzanympasem skutecznie oduczyło ją spontanicznego działania. Trwała więc na swoim krześle sztywno. Starając się nie prowokować małżonka nawet głośniejszym oddechem, czekała na reprimendę. Ostatnio popadł w jakąś niewątpliwie wspomaganą opiummelancholię, bo patrzył apatycznie na żonę, prześlizgując się wzrokiem po jej twarzy równie obojętnie, jakby była meblem.

- Możesz odejść - ogłaszał.

- Dziękuję. - Skłaniała się sztywno, i podgarniając poły spódnicy, kierowała się w stronę drzwi. pamiętając, by nie wykonywać gwałtownych ruchów, które mogłyby skłonić męża do zatrzymania jej w gabinecie na dłużej. Tego dnia osiągnęła już dłonią upragniony mosiądz klamki, gdy głos Wiktora sparaliżował ją w pół ruchu.

- Nasz syn... - powiedział cicho Wiktor.

- Tak, mężu? - zapytała łagodnie kobieta.

- Mówię o naszym prawdziwym synu.

- Oczywiście, mężu - skinęła potulnie głową.

- Chcę, żebyś dopilnowała jego lekcji jazdy konnej. W przyszłym miesiącu zamierzam posłać go do szkoły kadetów.

Adelajda skłoniła się przed Wiktorem, spuszczać wzrok. Dziesięcioletnie dziecko do szkoły wojskowej? Wiedziała, że jej mąż użyje swoich wpływów i z pewnością uda mu się umieścić chłopca w placówce, ale... na Boga! Dziesięciolatka? Za wcześnie. Wiedziała, że ojciec zawiedziony nieudacznym synem pokłada ogromne nadzieje w drugim, ale to nadal było małe dziecko! Miała ochotę rzucić się na Wiktora i przegryźć mu gardło.

- Oczywiście, mój drogi - odparła zamiast tego. - Czy mogę teraz odejść, by dopilnować lekcji naszego syna?

- Możesz.

- Dziękuję. - Ponownie położyła dłoń na klamce.

- Adelajdo! Ten drugi nie rokuje. Oddasz go kucharce.

- Ależ... - Niechciany jęk wydobył się z kobiecych ust. W tej samej sekundzie z przerażeniem przytknęła do nich drżącą dłoń.

- Sprzeciwiasz mi się? - warknął Wiktor, z trzaskiem wysunął szufladę i wyjął z niej skórzany pas.

Nie tylko dla Ducha zapadła tego dnia aksamitna i nieprzenikniona ciemność.

...

Można powiedzieć, że pomimo odtrącenia ze strony ojca Duchowi z kucharką było

dobrze. Spędzał całe dnie w przytulnej kuchni, a wieczorem kobieta brała go za rękę i prowadziła do swojego pokoiku na poddaszu. Tam sypiał, w kącie pokoju, na drewnianym, białym łóżku. Skąd wiedział, że było białe? Kucharka cierpliwie uczyła go świata, w swej naiwnej, dobrodusznej prostocie sądząc, że wystarczy podać nazwę tego, co widzi, by chłopiec zobaczył to, co ona, swoimi ociemniałymi oczami. Opowiadała mu o błękitach nieba i czerwieni bukietów róż, które pan kazał całymi pękami sprowadzać do domu po każdej bolesnej lekcji danej swej cichej małżonce. Z zapałem tłumaczyła mu, że sałata jest zielona jak spódnica pomywaczki Maryśki, a skórka chleba mieni się złociście, gdy smaruje się zimną wodą bochny wyciągnięte na dwa pacierze z pieca. Kucharka, gdyby kiedykolwiek usłyszała o synestezji, z pewnością w końcu by pojęła, że w świecie chłopca jedynymi wzajemnie się dopełniającymi bodźcami są dźwięki i zapachy. I nieśmiały, ostrożny dotyk. O ile badanie opuszkami palców znajdujących się w domu przedmiotów uchodziło chłopcu zazwyczaj na sucho, o tyle próba zbadania rysów twarzy któregośkolwiek z domowników spotykała się zawsze z ostrą reprymendą. Duchowi przyszło żyć w czasach, w których dotykanie innych ludzi nie było mile widzianą praktyką. Ludzi zresztą cechowała w tych dniach jakaś nerwowość, którą chłopak bezbłędnie wychwytywał w podniesionym tonie rozmów, niecierpliwych i hałaśliwych odgłosach życia codziennego. Lokaj zamykał głośniej drzwi, ojciec tupał w posadzkę gabinetu, maszerując po nim w kółko, a pomywaczka Kryśka, chlipiąc cichutko, tłukła kolejne talerze. Duch nie wiedział, czy jego matka także uległa tej dziwnej atmosferze. Nie widywał jej od tygodni. Najmniejsza próba kontaktu, tak z jego, jak i z Adelajdy strony była srodze karana przez ojca. Duch tęsknił za nią rozpaczliwie i desperacko przywoływał z zakamarków pamięci jej zapach. Pod koniec upalnego lata nawet to się nie udawało. Dom parował duszącymi woniami, z których najsilniejszą był strach domowników. Jakby wszyscy przeczuwali zbliżające się nieszczęście.

...

Piątki w domu były postne. Państwo byli wierzący, choć Pan bynajmniej nie zachowywał się jak prawdziwy katolik, czego najlepszym przykładem były sińce Pani i to, jak traktowano w tym domu tego nieszczęsnego chłopca. Kucharka dźwignęła się z łóżka jeszcze przed piątą i wraz z towarzyszącymi jej niewesołymi myślami zesza skrzypiącymi schodami dla służby do znajdującej się w suterenie kuchni. Chłopca zostawiła pogrążonego we śnie w jego białym drewnianym łóżku. Kobieta pospiesznie zakrzętała się wokół pieca, nastawiła sagan z wodą i już po chwili wyjmowała ze spizarki bochny chleba, gomółki sera, po czym, stękając z wysiłku, wyciągnęła na środek drewnianej podłogi cynową balię, w której pływały żywe ryby. Trzeba je będzie sprawić i zrobić w galaretach. Pan do postu, tak jak do traktowania domowników, podchodził inaczej niż wszyscy ludzie. Jakby plując Panu Bogu w oblicze, obzerał się w piątki od rana do nocy i zadowolony z siebie powtarzał, że nie spożywa mięsa, więc pości. Jakby się cieszył, że Stwórcę przechytrył. Kucharka przeżegnała się trwożliwie i porzuciła niebezpieczne myśli. Wyprostowała się i podeszła do kuchennych drzwi, by wnieść do środka kanki ze świeżym mlekiem. Za progiem było jednak pusto. Kobieta wyszła przed dom i w pierwszym brzasku wypatrywała chłopca od mleczarza. Zastanawiała się w duchu, czy to ten gałgan zasnął, czy też to ona wstała dzisiaj wcześniej niż zwykle. Problem pozostał nierozwiązany, bo w ciszę śpiącego miasta wbił się nieznaną odgłos. Kucharka odwróciła wzrok od ulicy i spojrzała w różowe niebo. Nad sąsiednią willą mignął czarny cień. Samolot przepłynął majestatycznie nad dachami. A potem na warszawski Rakowiec spadły bomby.

W ciągu kilku minut wszyscy domownicy zerwali się na nogi. Pokojówki zbiły się

w stadko w progu salonu, Pani, otulona szlafrokiem tkwiła na otomanie, tuląc Panicza, a Pan usiadł koło radia i nerwowo kręcił gałkami. Po chwili trzeszczący głos przeczytał straszny komunikat, którego przecież wszyscy tak naprawdę już od jakiegoś czasu się spodziewali. Co innego jednak strach, a co innego zniszczenie się sennych koszmarów.

- Jezus Maria! Wojna! - wyszeptała pobladła ze strachu Pani, a służba jęknęła chórem.

W drzwiach jak zły omen stanął zaspany Duch w białej koszuli nocnej, i trzymając się framugi, drżał na całym ciele.

- Mamo? Mamo, co się dzieje? - zapytał, niepomny, że ojciec surowo zabronił mu się do niej odzywać.

Nie doczekał się zresztą odpowiedzi, za to poczuł na ramieniu spracowaną dłoń kucharki.

- Usiądź, kochaneczku - powiedziała łagodnie i zaprowadziła go do najbliższego krzesła. Sama, podobnie jak reszta służby, stała. Nie godzi się siadać w obecności państwa.

Pan Wiktor, manipulujący przy odbiorniku, nie zwrócił uwagi na Ducha. Słuchał uważnie słów spikera, potrząsając z niedowierzaniem głową. Gdy wreszcie odwrócił się w stronę domowników, jego podbiegłe krwią, wiecznie pijane oczy zogniskowały się na karafce whisky stojącej na stole.

- Nalej! - polecił krótko, wskazując brodą lokaja.

Ten posłuchał i nalał do pełna. Wiktor wypił jednym haustem i z trzaskiem odstawił szklanekę na stół.

- Jeszcze! - zażądał.

W tej samej chwili okolicą wstrząsnął przeraźliwy huk, a z okien salonu posypało się kaskadą potłuczone szkło. Krzyk przerażenia wyrwał się z płuc kobiet.

- Do piwnicy! - wrzasnął przytomnie lokaj i zgarniając z otomany omdlałą Panią ruszył w stronę drzwi. Panicz ruszył za nimi.

- Stać! - wrzasnął Pan. Przechylił karafkę i wypił duszkiem cały alkohol. - Dokąd to, tchórze?

Chwiał się już na nogach. Jego zniszczony narkotykami i wódką organizm nie potrzebował zbyt wiele, by osiągnąć stan kompletnego upojenia.

- Skoro nas atakują, to będziemy walczyć! - wybełkotał, po czym czknął przeciągle.

- Ale dzieci! - odważyła się odezwać kucharka, tuląc do siebie drżącego Ducha.

- Tu nie ma dzieci! Tu jest tylko mój syn, żołnierz. A ten tu - Wiktor spojrział z pogardą na niewidomego chłopca - to kundel. Pies parszywy i zakała tego domu!

Mężczyzna chwiejąc się na nogach podszedł do Ducha i zbliżył zapity pysk do jego pobladłej twarzy. Dzieciak cofnął się instynktownie, czując kropelki śliny bryzgające na boki w towarzystwie jadowitych słów.

- Takiś hardy? - wrzeszczał ociec. - No chodź! Staniesz w obronie ojczyzny, gówniarzu. Może w końcu się na coś przydasz!

Pan Wiktor ruszył do drzwi wyjściowych, ciągnąc za ramię opierającego się chłopaka. Nikt nie śmiał zaprotestować, gdy wyprowadził Ducha na podwórko. Sąsiednie zabudowania płonęły, ale ich dom stracił tylko szyby. Podwórze wyglądało tak jak zwykle, a wozownia stała tam, gdzie wczoraj. Tuż za dozorcówką pełgał przy ziemi siwy dym.

- Konia! - wrzasnął Wiktor.

Zbici w stadko domownicy, w tym Pani trzymająca kurczowo w objęciach Panicza i spoglądająca w panice na drugiego syna, nie ruszyli się z miejsca.

- Stanisławie! Natychmiast każ siodłać! - Wiktor pstryknął lokajowi palcami przed nosem. Ten, jakby wyzwolony ze stuporu, drgnął i pognał w stronę wozowni. Wrócił po chwili, ciągnąc za uzdę drobiącego nerwowo wierzchowca.

- Wsiadaj! - Pan szarpnął Ducha za ramię, a ten bezwolnie zbliżył się do zwierzęcia i ostrożnie dotknął dłonią jego boku. Koń szarpnął się i przewrócił chłopaka na ziemię, miażdżąc mu kopytem lewe ramię.

- Nie! - wrzasnęła Pani, podbiegając i próbując osłonić chłopca własnym ciałem.

- Mamo! - zawył rozpaczliwie Panicz, wyrrywając się przed ojca i osłaniając matkę przed kopytami rozszalałego zwierzęcia.

A potem na podwórze spadła bomba i rozerwała wszystko na krwawe strzępy. Duch czuł, jak ciepłe, śmierdzące krwią i strachem płaty opadają na jego twarz. Próbował się podnieść, ale zwałił się nań cuchnący stajnią ciężar. Nie słyszał ludzkich głosów, tylko wszechobecny świst i huk. Dym wgryzał mu się w nozdrza i wciskał się do ust, wywołując gwałtowny atak kaszlu. Pozbawiony zasadniczych zmysłów, nie potrafił zrozumieć, co się dzieje. Zdał się więc na dotyk. Ostrożnie powiódł ręką wzdłuż nieruchomego końskiego grzbietu, co jakiś czas natrafiając na ciepłe, oślizgłe płaszczyzny.

...

Wlot numer trzy przy Ackerstrasse powitał Ducha znajomą chropowatością drabinki. Pan Józef, mąż kucharki, która zaopiekowała się swoim wychowankiem i jego okaleczonym ojcem, zwykł mawiać, że chropawa rdza to największe skurwysyństwo, jakie w kanałach siedzi, i nawet szkopy takiego syfu nie narobią, jak to dziadostwo cholerne, przez które już niejeden kanalarz skończył z przetrąconym karkiem. Chłopak wierzył mu na słowo i zawsze, gdy wyczuł pachnącą mieszanką soli, żelaza i krwi rdzę, kilka razy zastanawiał się nad każdym krokiem. Nie chciał skończyć z przetrąconym karkiem. Niewielkie sumy, które zarabiał na czyszczeniu kanałów pod czujnym okiem pana Józka, zapewniały chleb i jemu, i ojcu. Kucharka dała im izbę za kuchnią i dbała o nich, jak mogła, ale bieda i głód były w tych dniach wszechobecne. Chleb kosztował już jedenaście złotych.

- Za tyle to przed wojną można było pół wołu kupić! - mawiała kucharka.

- I kopę jaj pewnie? - dodawał pan Józef, śmiejąc się dobrotliwie z babskiego wyolbrzymiania.

Jego żona obrażała się wtedy i, wzruszając ramionami, szła do pieca sprawdzić, czy zupa nie kipi. Duch wychwytywał najcichsze nawet dźwięki. I tylko on między trzaskaniem pokrywek słyszał, jak kucharka szlocha cichutko i jak się skarży losowi, który jej jedyne syna Michała do konspiracji przeciw Niemcom przeznaczył. O tym się w domu głośno nie mówiło. To była wielka tajemnica, ale Duch swoje wiedział. Żał mu było kucharki, jedynej kobiety, która tak naprawdę była mu matką. Nie chciał, żeby się tak o Michała martwiła, ale nawet pocieszyć jej nie miał jak, bo o zmartwieniach opiekunki nie miał prawa wiedzieć, a za nic by się nie przyznał, że niechcący słyszy te cichusieńkie szepty. Dość już jej zmartwień przysparzał Wiktor, jego ojciec. Stracił obydwie nogi i lewą rękę, ale prawa, choć drżąca, wciąż wskazywała pańskim gestem pogniecione prześcieradła i brudne naczynia stojące na komodzie obok łóżka. Nie wyleczył się z tych odruchów i zupełnie nie pojmował, że teraz to on jest na łaskawym chlebie u byłej służącej. Kucharka przyjmowała to ze stoickim spokojem i Duch był pewien, że trzymała się tego dawnego porządku rzeczy, bo pomagało jej to ignorować otaczającą ich wojenną rzeczywistość i zapomnieć o bombie, która zabiła wszystkich oprócz niej, Ducha i pana Wiktora. Stała pośród służby, gdy Pan zaczął to przedstawienie pijackie i wszystkich ułożył jak na tacy na hitlerowską zgubę. Jak Panią stratował oszalały ze strachu koń i bomba prasnęła na dziedziniec, to kucharka właśnie się potknęła o but Panicza, który skoczył na pomoc matce. Jakoś się tak zakotłowało, lokaj bezgłośnie padł na podkuchenną, zwalając po drodze z nóg dwie pokojówki. Kucharka leżała przywalona ich ciałami, i zaciskając powieki, szeptała bezgłośnie te swoje modlitwy.

Kolejne bomby szarpały zawzięcie dom i stajnię, a podwórze zapiekło wrześniey dzień w suchy wrzask płonących ciał. Kucharka leżała i dziwiła się, że żadna cholera jej nie bierze. Otworzyła oczy i zobaczyła, że zza końskiego ścierwa, które tak naprawdę uratowało mu życie, czołga się niemrawo Duch. Zawsze miała dla niego mnóstwo matczynych uczuć i teraz też, pomimo szoku i niedowierzania, w pierwszej kolejności pomyślała o bezpieczeństwie dzieciaka. Wydostała się z trudem spod zwłok lokaja i podeszła do Ducha. Pomogła mu wstać i otaksowała krótkim spojrzeniem jego bezwładną rękę. Już odchodzili, gdy spod końskiego grzbietu dobiegł ich cichy jęk.

- Ojciec! - rozpoznał od razu chłopak. - Musimy mu pomóc!

Kucharce pomysł ryzykowania życia dla pana Wiktora nie wydał się najszcześniejszym, ale chrześcijańskie sumienie zwyciężyło. Pakując na wózek to, co zostało z butnego fabrykanta, nie miała specjalnej nadziei, że uda mu się dotrzeć przy życiu aż do Mokotowa. Udało mu się. Widać nie spłacił jeszcze krzywd wyrządzonych na tym świecie. Kucharka nie miała wątpliwości, że Bóg ma w tym swój plan i ona tym boskim zamysłem nie ma prawa stawać na drodze. I tak do jej rodziny w tych niespokojnych czasach dołączyli cichy, grzeczny Duch i jego zwyrodniały, kaleki ojciec.

...

Gdy Duchowi udało się w końcu zaprzyjaźnić z fetorem, los pomocnika pana Józefa wydał mu się więcej niż zadowolający. Przemierzając długie odcinki kanałów, uczył się ich odgłosów i na podstawie różnic w rozchodzeniu się dźwięków układał w głowie mapę podziemnej Warszawy. Kanały były jedynym miejscem, gdzie czuł się równy innym ludziom. Tutaj spotykani pracownicy byli tak jak on bezbroni w zderzeniu z ciemnością. Maleńkie lampki, których ledwie tłące się ciepło wyczuwał czasami na skórze, nie mogły dawać zbyt wielkiej obrony przez mrokiem. Pan Józef szybko zaczął doceniać młodego pomocnika. Chłopak z niezwykłą precyzją odgadywał, w których miejscach tunele zapadają się głęboko pod brudną wodę i gdzie trzeba uważać na każdy krok. To, co mąż kucharki zwykł przypisywać niezwykłej intuicji Ducha, on sam po prostu słyszał. Inaczej brzmi dźwięk kroków w tunelu z niewielką ilością wody, a zupełnie inaczej w miejscach, gdzie zdradziecki nurt ma głębokość dwóch metrów. Inaczej pachnie korytarz zawalony starymi cegłami, a inaczej drożny, wiodący do kolejnego wjazdu. Bardzo szybko stał się maskotką całej braci kanalarzy, a wielu z nich z czasem uwierzyło, że gdy chłopiec schodzi pod ziemię, to na zmianie nikomu nie przytrafi się nic złego. I rzeczywiście Duch najwyraźniej przynosił im szczęście, a oni zawsze mieli dla niego jabłko, grudkę cukru czy choćby dobre słowo.

Tego lipcowego dnia, gdy siedzieli z panem Józefem po pracy na krawężniku przy władzie numer trzy na Ackerstrasse, Duch ponownie poczuł dziwny zapach zapamiętany z domu rodzinnego. Ten sam, który towarzyszył mieszkańcom domu na Rakowcu tuż przed wybuchem wojny. Była to przede wszystkim woń strachu, ale przecież przez ostatnie lata strach wgryzł się tak mocno w mury i ulice, że musiało chodzić o coś innego. Chłopak skoncentrował się na odgłosach dobiegających z pobliskiego chodnika. Pospieszne kroki gubiły rytm, obcasy wbijały się w betonowe płyty mocniej niż zwykle, a ludzie oddychali płycej i szybciej. I nie była to tylko wina obozwardniającego upału. Ulica pachniała i brzmiała inaczej. To właśnie ten zapach unosił się w rodzinnym domu. Woń gorączkowego oczekiwania podszytego strachem.

- Chcesz jeszcze chleba? - zapytał pogodnym głosem pan Józef.

- Coś dziwnego się dzieje - szepnął chłopak.

- Łapanka? - Kanalarz poruszył się niespokojnie. Duch słyszał trzaskające oficerkami kroki gestapowców zanim oni sami pojawiali się w dole ulicy i nie raz uratował dupę sobie

i jemu.

- Nie, panie Józefie, to nie to. Coś dziwnego w ludziach siedzi. Jakby na coś czekali.
- Chodźmy do domu! - zarządził mąż kucharki, a Duchowi nie umknęła dziwna nuta w jego głosie. Tak jakby wiedział, co się święci, ale nie chciał o tym mówić.

...

- Nie! Nie zgadzam się! - Szloch kucharki stłumił trzask przestawianych garnków. Duch mył ojca i starał się cicho odciskać szmatkę w miednicy. Jego uszy łowiły spór pomiędzy panem Józefem i jego żoną.
- Zrozum kobieto! To jest wojna! Na wojnie nie ma dzieci! - grzmiał kanalarz.
- On nie widzi! Jest kaleką! Co może pomóc w tej waszej wojnie?
- Porusza się w ciemnościach jak kot! Jest więcej wart dla sprawy niż tuzin widzących chłopaków!

W kuchni zapadła cisza, a w pokoju Wiktor mamrotał pod nosem przekleństwa. Znów odpłynął w przeszłość i zdawało mu się, że rozkazuje służbie w domu na Rakowcu. Chłopak szybko wysuszył ojca lnianym ręcznikiem i otulił kołdrą. W pokoju panował nieznośny upał. Cóż z tego, że okna były uchylone, skoro jakikolwiek dostęp świeżego powietrza skutecznie blokowały pomalowane na czarno arkusze papieru na stałe wmontowane we framugi okien. Zaciemnienie było konieczne. Do światła niczym ćmy ściągały wojenne kłopoty.

- Ja się zgadzam - powiedział Duch, stając w progu kuchni.
- Syneczku! - zaszlochała kucharka. - Dość już jednego chłopca ojczyźnie podarowałam!
- Mamo! - rozległ się basowy i poważny głos zza pieca. - Pozwól chłopcu samemu zadecydować.

Tak właśnie Duch poznał Michała, człowieka, który wkrótce zawładnął jego życiem i śmiercią.

...

- Duch! Strona?

Rozkaz Michała smagnął chłopaka po uszach i pomimo próby zachowania beztróskiego tonu nuta paniki była więcej niż oczywista. Od trzech dni na ogonie siedział im oddział Niemców. Tropił ich w kanałach i nie dawał nawet sekundy wytchnienia. Żarcie skończyło się już dawno temu. Wody było pod dostatkiem i nikt nie próbował myśleć o jej jakości. Dopóki była, organizmy wyczerpanych powstańców podejmowały kolejny ponadludzki wysiłek. Duch nie spał od kilku dni. Próby przyłożenia głowy do bruku chodnika pod drabinką szóstego, siódmego, czy dwunastego wjazdu na Mokotowie spełzały na niczym. Jeśli nie budziła go bomba, to trącał w ramię Michał. Kolejny zawał w kanałach. Trzeba wyprowadzić oddział dalej na północ. Duch podrywał się na równe nogi i zaciskając pięści próbował węszyć.

- W lewo sto metrów, skręt ponownie w lewo, niski tunel, chyba woda - raportował Duch, zapadając ponownie w letarg.

- Nie czas na sen teraz! - szarpał go Michał, poprawiając karabin pod pachą. - Chodź! Krysia! Pomóż mu!

Ducha opasywały jedwabiste dłonie pachnące prochem strzelniczym i zgnilizną kanałowej wody. Właściwie było mu wszystko jedno. Cały oddział jechał trupem. Jeśli żyli, to ten stan rzeczy już wkrótce się zmieni. Dudnienie kroków zagłuszył pisk z głębi kanału. Szczury. Nigdy dotąd nie emitowały aż tak wysokich tonów. Chłopak wsparł się mocniej na ramieniu sanitariuszki. Było gorzej niż kiedykolwiek. Wyczuwał to wszystkimi zmysłami.



Gryzonie krążyły wokół jak oszalałe, a daleko za nimi, w odległym końcu korytarza, zadźwięczały stałą kroki niemieckich butów.

- Niemcy! - szepnął Duch.

- Zaraz ich przywitamy! - zarechotał Jaś, blondyn urodzony pod szczęśliwą gwiazdą, wyjmując zza pazuchy lugera.

- Nie! - niewidomy powstaniec zaprotestował półgłosem. - Jest ich zbyt wielu. Musimy się schować.

- Nie jestem tchórzem, żeby się chować! - zachnął się Janek.

- Spokój! - uciął stanowczo Michał. - Skoro mój brat mówi, że mamy się schować, to tak właśnie zrobimy.

- W lewym korytarzu jest wnęka. Nieduża, ale nas pomieści - odparł Duch.

Czując ciepło łokcia Krystyny, chłopak skradał się bezszelestnie za innymi w stronę kryjówki. Myślał o ojcu, o kucharce. Zastanawiał się, co się z nimi stało. Czy kucharka, uciekając z płonącej Warszawy, zabrała kalekę ze sobą? Dość już i on, i ojciec nadużyli dobroci tej kobiety. A teraz jeszcze Michał. Od śmierci pana Józefa w pierwszych dniach powstania nazywa go bratem. Prawdziwy brat Ducha nigdy nawet słowa nie powiedział do niego. Może bał się ojca, a może gardził kalekim bliźniakiem. A Michał zawsze traktował go jak równego sobie. Cenił jego opinie i troszczył się o niego. Dla Michała Duch zrobiłby wszystko.

- Czego te szczury tak piszczą? - szepnęła Krystyna.

Duch zatrzymał się w pół kroku.

- Coś jest nie tak - odparł półgłosem. - One... jakby nie chciały, żebyśmy tam szli...

W głębi kanału rozległ się plusk. Szczury zaczęły piszczeć jeszcze głośniejszym i wartkim strumieniem naparły na stojących w połowie korytarza powstańców.

- Jezu! Szczury nas atakują! - ktoś wrzasnął.

- Nie! Nie! Padnij! - krzyknął rozpaczliwie Duch i pociągnął na ziemię Krystynę.

Po chwili wszyscy powstańcy przywarli do dna kanału, a szczury w panice przebiegały po ich plecach. Nie minęła sekunda, a podziemną Warszawą targnął potężny wybuch.

...

- Ciesz się, że żyjesz! - tłumaczył dziewczynie po raz kolejny i niezdarnie głaskał jej wstrząsane histerycznym szlochem plecy.

Siedzieli wtuleni w wilgotny wyłom muru, i grzejąc sobie nawzajem dłonie, odwlekali moment zrozumienia własnej sytuacji. Krystyna rzewnie płakała za Michałem, a Duch za swoimi złudzeniami, że Krysia coś do niego czuje. Nigdy tak jak teraz właśnie nie chciał się poczuć prawdziwym mężczyzną, który niesie na barkach odpowiedzialność za ukochaną kobietę.

- Boże mój! - szlochała Krystyna. - Co się stało z Michałem? I z resztą oddziału?

Duch przygarnął ją bliżej do siebie i zaczął delikatnie kołysać w ramionach. Chciał choć odrobinę ukoić strach dziewczyny, zanim powie jej, że zostali pogrzebani na wieki w niewielkim załomie kanału. Szloch sanitariuszki odbijał się od zwałowiska cegieł i matowy od bardzo krótkiej podróży wracał do uszu zrozpaczonego chłopaka. Właściwie powinien przestrzec Krysę, że jej spazmatyczny szloch odbiera im zbyt szybko resztki tlenu i że niewielka piwnica, w której utknęli, stanie się ich grobem, ale nie chciał spędzać ostatnich chwil życia w towarzystwie rozhisteryzowanej dziewczyny. Podejrzewał, że już wkrótce brak tlenu wyciszy jego towarzyszkę i w spokoju zasną, zatruci własnymi oddechami. Właściwie to nie taka zła śmierć. Duch nigdy nie widział światła, więc koniec życia w kompletnych ciemnościach byłby potwierdzeniem jego kłopotliwej ułomności.

Ale Krystyna, po raz pierwszy w życiu całkowicie pozbawiona zmysłu wzroku, nie umiała zapanować nad paniką. Wraz ze wzrokiem zatraciła zdolność jakiegokolwiek odczuwania i logicznego myślenia.

- Co my zrobimy? Boże mój! - płakała, wciskając połamane paznokcie w wojskową kurtkę chłopaka i mocząc łzami jego policzek.

Duch nie był w stanie się powstrzymać. Poczul, że ten jedyny raz w życiu ważne jest to, czego on pragnie, i czego żaden z widzących ludzi nie jest w stanie mu odebrać. Nie będzie więcej przeproszał za to, że jest kaleką. Tu, w podziemiach, jest więcej wart niż jakikolwiek inny mężczyzna. Nie wzrok przecież świadczy o męskości. W oddali zapiszczały szczury, co Duch wziął za dobry omen, a przerażona dziewczyna za powód, by jeszcze mocniej przywrzeć do chłopaka. Tuż za ich plecami pachnąca pleśnią woda kapiała miarowo na pokruszone cegły. W zależności od nastawienia powtarzający się dźwięk mógł doprowadzać do szaleństwa lub do stanu kompletnego wyciszenia.

- Zaraz zwariuję! - szepnęła dziewczyna.

- Ciiii... - zaszemrał chłopak. - Będzie dobrze.

- Nie puszczaj mnie.

- Nie puszczę.

- Michał...

- Może przeżył...

- Duch?

- Tak?

- To koniec? Tak?

- Nie wiem. Szczury...

- Stąd nie ma wyjścia, prawda?

- Nie jestem pewien...

- Więc nie ma?

Duch westchnął i pogłaskał ją po włosach. Po chwili odnalazł jej usta. Nie opierała się. Przywarła do niego drżącym ciałem. Pachniała tak słodko i tak szybko oddychała. Jej twarz, którą pierwszy raz dotykał, była kolejnym doświadczeniem, ale nie umiał powiedzieć, czy była piękna, czy zwyczajna lub brzydka. W świecie niewidomych piękno opiera się na dźwiękach, zapachach i dotyku. Dziewczyna była aksamitnie miękka, ale pachniała kanałami. Na pewno pięknie westchnęła, gdy Duch znalazł do niej drogę.

- Ja nigdy... - szepnęła.

- Ja też ... - odparł i wtulił twarz w jej włosy.

A potem usłyszeli pisk szczurów kłębiących się wokół nich. Skoro one znalazły drogę do ich więzienia, to pewnie wyjście nie będzie takie trudne.

...

- Zastanawiam się, jak potoczyłoby się nasze życie, gdyby nie ta cholerna wojna.

- Nigdy byśmy się nie spotkali.

- Skąd wiesz?

- Jesteś synem fabrykanta.

- I co z tego?

- A ja córką handlarki z targu.

- Nadal nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? - Wtuliła się w niego, pieszczotliwie muskając ustami ucho.

- Nie

- Ja pochodzę z nizin a ty z bogatego domu.

- Nie widzę różnicy! - zaśmiał się przekornie.
- Nie widzisz?
- Nie! Nie widzę - Oplótł ją ramionami, przyciągnął do siebie.
- A co widzisz? - wyszeptała.
- Niczego nie widzę! - Śmiał się w głos i tulił Krysię jak wariat.
- Głodna jestem - poskarżyła się.
- Wiem, ale co mogę zrobić?
- Złap szczura.

...

Szczur, zwabiony śpiewnymi dźwiękami wydawanymi przez Ducha, zjawił się niezwłocznie i bez lęku zaczął dreptać po rękawie kurtki. Chłopak westchnął głęboko i spróbował złapać gryzonia za ogon. Ten odskoczył na kolana Krysi. Zobojętniała na wszystko dziewczyna nawet nie zareagowała.

- Nas nie zjesz... - zapiszczał zwierzak i podreptał ku jego stopom. Przycupnął na ceglany wyłomie i przekrzywiając łebek, obserwował ludzi.

- Jestem głodna. Tak bardzo głodna - rozplakała się dziewczyna.
- Wiem. Ja też - westchnął Duch.
- Nie jestem żarciem!
- Słyszałaś? - zapytał chłopak.
- Co? - odparła Krysią.
- Szczur powiedział, że nie jest żarciem!
- A kto jest? Ja?
- Nie ty. On - zapiszczał szczur.
- Słyszałaś? - zapytał bez tchu Duch.
- Nic nie słyszałam! Głupi pisk tylko.
- Wyprowadzimy ją, ale coś w zamian chcemy - zapiszczał szczur.
- Zgadzam się - powiedział Duch. - Uratujcie ją. Ja się nie liczę.
- Tak będzie - zapiszczał szczur i ruszył w stronę gruzowiska.
- Do kogo mówisz? - zapytała Krysią.
- Tak do siebie gadam...
- Boję się! - pożałowała się.
- A ja już nie - westchnął i uśmiechnął się.

Domyśliła się jego uśmiechu i pogłaskała go po policzku. Z oddali słychać było szum tysięcy małych łapek. Żywe tornado naparło na gruzowisko.

- Co się dzieje? - wrzasnęła Krystyna.
- Nic. Wszystko jest w porządku.

Piszcząca nawałnica rozbiła ceglany zator i kaskadą szczurów zalała piwnicę. Duch porwał w ramiona dziewczynę i wypchnął ją w górę.

- Zabierzcie ją stąd! - wrzasnął.
- Twoje życzenie jest dla nas rozkazem! - zaszemrało stado szczurów.

Krysią zasłoniła twarz i skuliła się w przestachu. Kłębiące się histerycznie stado gryzoni oddzieliło ją od Ducha i porwało w sobie tylko znanym kierunku.

Duch położył się i rozkrzyżował ramiona. Szczur usiadł na jego piersi i wpatrywał się badawczo w jego twarz.

- Już? - zapytał niewidomy powstaniec.
- Już - odparł szczur.
- Jakie to życie głupie i bez sensu... - zaśmiał się chłopak.

- Jak chcesz zacząć?

- Chciałbym przed waszym obiadem zobaczyć w końcu światło.

I szczury rzuciły się do oczu Ducha. Ten tylko zacisnął dłonie w pięści. A potem zobaczył światło. Ból eksplodował w jego mózgu feerią fajerwerków. Zanim zjadły go szczury, przez chwilę widział światło. A potem świat zgasł ponownie. Ostatnią myślą Ducha była troska o to, czy Krysia wydobędzie się na powierzchnię.

- Jest zdrowa i właśnie wychodzi z kanałów - szepnął litościwie szczur. - Śpij dobrze, człowieku.

...

Ulica Fałata, nieco zaniedbana przez swoich komunistycznych włodarzy, nie utraciła całkowicie dawnego uroku. Starodawne latarnie ugięły się nad brukowaną uliczką. Przy jej wylocie dobre wrażenie psuł zardzewiały parkan odgradzający spokojną społeczność pobliskich kamienic od zabudowań Politechniki Warszawskiej. Środkiem uliczki szła dziewczynka. Jasne, spięte w kucyki włosy podskakiwały przy każdym kroku.

- Krysiu! Ostrożnie! - zawołała jej babcia.

Dziewczynka podeszła do zardzewiałego parkanu i przez chwilę z zaciekawieniem studiowała paluszkiem zarys krat.

- Wnusi! - Babcia dopadła do niej i objęła opiekuńczo.

- Babciu, a wiesz, że zielony płot inaczej pachnie niż ten brązowy w przedszkolu?

Krystyna zerknęła w niewidome oczy swojej imienniczki i westchnęła. Przytuliła wnuczkę i zerknęła na żółknące klony. Czterdzieści lat temu o tej samej porze dogorywało powstanie.